

Piotr Peto

Dawnych wspomnień czar

Nagłośnienie koncertów w latach 80. i 90.

Działając oficjalnie w branży nagłośnieniowej od bez mała 30 lat, a licząc pierwszą wykonaną samodzielnie paczkę głośnikową dokładnie od 41, siłą rzeczy musiałem przez tych kilka dekad „zaliczyć” pewną liczbę mniejszych lub większych imprez muzycznych. Pomyślałem więc sobie, że opowiem o kilku z nich, wzbogacając tekst własnoręcznie wykonanymi zdjęciami. Sądzę, że ten artykuł będzie szczególnie interesujący dla młodszych czytelników, bo początek opowieści to rok 1984, a to z ich punktu widzenia niemal prehistoria.

Oczywiście wcześniej też bywałem na koncertach, ale moja percepcja nie była wówczas jeszcze „skażona” tymi wszystkimi fachowymi naleciałościami, które powodują, że osoba związana profesjonalnie z techniką estradową zazwyczaj odbiera każdą imprezę nieco inaczej, niż „zwykły” słuchacz.

Jednak jadąc na Festiwal Muzyków Rockowych Jarocin 1984 miałem już jakieś takie pojęcie o sprzęcie nagłośnieniowym, więc byłem ciekaw, co zastanę na miejscu i jak to zagra. W tamtych czasach większość dużych imprez plenerowych w Polsce obsługiwała firma pana Ludwika Cękałskiego, w której „terminował”

wielu znanych dzisiaj akustyków, a nawet niektórzy właściciele największych krajowych firm nagłośnieniowych. Choć pojechałem do Jarocina głównie z ciekawości, to szczerze przyznam, że dziś zupełnie już nie pamiętam wrażeń „akustycznych”. Być może dlatego, że tak naprawdę byłem tam tylko przejazdem,





Peavey był w latach 80. cenioną i popularną firmą nie tylko w Polsce.



Stanowisko realizatorów, sklecone z surowych desek i okryte folią.

jeden dzień i chyba większą uwagę zwracałem na „koloryt lokalny” i całą otoczkę festiwalową, niż na same występy zespołów. Inna sprawa, że w tym właśnie czasie Jarocin mocno „skręcił” w stronę punk rocka, a ta muzyka od samego jej początku była zdecydowanie poza zakresem moich zainteresowań. Jednak warto odnotować, że to właśnie w 1984 zadebiutowała choćby Siekiera, z której wywodzi się ceniony zespół Armia, czy dajmy na to grupa Piersi, której lider też „wyewoluował” na swój sposób, choć niekoniecznie muzycznie. Jeśli chodzi o sprzęt, to pamiętam mnóstwo zestawów tubowych, zestawionych w „ścianę dźwięku”, i napędzające je końcówki firmy Peavey o mocy 2 x 400 W, co na owe czasy było szczytem techniki, przynajmniej w naszych warunkach. Na dwóch kolorowych i jednej czarno-białej fotografii pokazującej całość nagłośnienia i stanowisko realizatorów FOH, którego to określenia chyba jeszcze się wtedy nie używało, ale być może niektóre osoby zostaną na nim rozpoznane.

Zaś co do firmy Peavey, wówczas bardzo popularnej w naszym kraju, to trzeba przyznać, że jak w wielu podobnych przypadkach, początki miała bardzo dobre, i był to w tamtych czasach sprzęt „riderowy”, a dziś to typowa „chińszczyzna”, na której mało kto gra, chyba że chodzi o aparaturę sprzed wielu dekad, która gdzieś tam dożywa powoli swoich dni. No ale swoją „historyczną” rolę firma odegrała i w dobrych czasach z pewnością należała do najbardziej popularnych, szczególnie w USA, a co za tym idzie i w Polsce, bo, jak wiadomo, amerykańskie jest najlepsze i „nie ma przebaczyć”.

Jeśli dobrze pamiętam, to w tym samym roku zahaczyłem też o Brodnicę, gdzie odbywała się cykliczna impreza pod nazwą Muzyczny Camping.

Ten koncert pamiętam już dużo lepiej z kilku powodów. Po pierwsze, serwowana tam muzyka była o wiele bardziej „strawna” dla moich uszu, i choć nie dojechał zapowiadany Dżem,

to i tak było czego posłuchać, a co ciekawe, gitarzysta jednego z zespołów miał wiośło marki VOX, a identyczną gitarę, sprowadzoną wprost z Anglii, nieco wcześniej sprzedałem w komisie, więc istnieje spore prawdopodobieństwo, że to był ten instrument, bardzo rzadki na rynku. Potem na takiej samej grał Wojciech Waglewski, i nigdy potem już nie widziałem takiej gitary u żadnego muzyka w Polsce. Pamiętam też, że lokalny dom kultury zorganizował płatny pokaz filmu muzycznego Pink Floyd w Pompejach, który puszczały w niewielkiej salce na kolorowym telewizorze, a źródłem sygnału była ówczesna nowość techniczna, czyli płyta laser disc. Jakość dźwięku była kiepska, a obrazu wręcz tragiczna, do czego z pewnością przyczynił się mało kompatybilny telewizor, chyba marki Rubin, więc dość szybko wyszedłem i udałem się na krótkie zwiedzanie miasta, z którym jestem dość mocno związany rodzinnie, a przez to również „muzycznie”. Jednak to temat na zupełnie inny artykuł. To tyle, jeśli chodzi o najstarsze wspomnienia,

A teraz przeniesiemy się 9 lat w przód, czyli do roku 1993. Wtedy istniała już od niedawna firma PMP i wpadłem na pomysł, że zareklamuję się jako producent właśnie w Jarocinie, który wówczas miał już rangę „kultową”, choć po koncertach i awanturach w roku 1994 na długie lata zawiesił działalność. Pomysł był taki, żeby ufundować nagrodę dla najlepszego gitarzysty festiwalu, którą miało być moje kombo gitarowe o nazwie Pulsar. Jako ciekawostkę dodam, że „akustyczny” test tego wzmacniacza ukazał się na pierwszej płycie CD wydanej przez miesięcznik Estrada i Studio w roku 1997, a na gitarze zagrał i urządzenie bardzo pochlebnie opisał w druku znany gitarzysta jazzowy, Krzysztof Woliński.

Udałem się więc do organizatora, czyli do firmy Rock Corporation, będąc przekonany, że wzbudzę entuzjazm moją propozycją. A jeśli nawet nie entuzjazm, to chociaż życzliwe zainteresowanie. Inspiracją do tak pomyślanej

nagrody był fakt, że na tym samym festiwalu, tyle że w roku 1987, też wybrano najlepszego gitarzystę i został nim mój kolega, Paweł Szymanek, muzyk blues-rockowej kapeli Tehas. Tyle że wtedy Paweł mógł cieszyć się jedynie kompletem strun. W moim przypadku okazało się, że organizator festiwalu specjalnego entuzjazmu nie okazał, a nawet padło „retoryczne” pytanie, czy zdaję sobie sprawę z tego, co oznacza cyt. „podłączyć się pod Jarocin”. Jednak jakoś dało mi się przekonać tego gościa, że moja propozycja ma sens również z punktu widzenia jego „interesów”, a przynajmniej nie powinna im zaszkodzić. Po jakimś czasie przekonałem się praktycznie, że taka forma reklamy w moim przypadku nie dała zupełnie nic, więc na tym moja działalność w roli „sponsora” się zakończyła. Potem, co prawda, sam dostawałem propozycje, żeby wyposażyć w sprzęt jakąś mniej lub bardziej znaną kapelę, np. w zamian za powieszenie banera reklamowego na koncertach, ale traktowałem je tak, jak na to zasługiwały, czyli informowałem o zupełnym braku zainteresowania z mojej



Identyfikator obserwatora.



Muzyczny Camping w Brodnicy.

Firmowe auto Gazety Jarocińskiej.

strony. No ale wtedy jeszcze nie miałem za bardzo pojęcia, jak działa branża muzyczna, więc zatankowałem Malucha i udałem się do Jarocina przez Wrześnię, gdzie odwiedziłem pierwszy i ostatni raz w życiu fabrykę Tonsil, a konkretnie dział, który zajmował się wytwarzaniem sprzętu estradowego. Panowie trochę dziwnie się na mnie patrzyli, gdy mówiłem, że sam wytwarzam wszystkie elementy głośników, a po kilku dekadach okazało się, że skromny rzemieślnik miał w zakresie profesjonalnych przetworników estradowych większe osiągnięcia niż specjalizowana fabryka, która zatrudniała kilka tysięcy osób. Mam na myśli głównie jakość produktów, ich różnorodność i rozwiązania techniczne, bo jasne jest, że ilościowo z żadnym zakładem produkcyjnym jeden człowiek konkurować nie może.

Po przybyciu do Jarocina udałem się do biura festiwalowego, gdzie okazało się, że miejscowi organizatorzy nic nie wiedzą o mojej umowie, co skutkowało tym, że nie było dla mnie żadnego zakwaterowania (a miało być), więc musiałem na własną rękę szukać miejsca noclegu i zupełnie przypadkowo trafiłem do jakiegoś domku, gdzie udało mi się przekonać właścicielkę, że nie zdemoluję jej chałupy, i że przyjechałem tutaj „służbowo”. Na szczęście otrzymałem identyfikator ze zdjęciem, więc byłem chyba w miarę wiarygodny. Oczywiście nie mieli plakietek z napisem sponsor, więc zostałem „obserwatorem” z jakiegoś ramienia, prawdopodobnie własnego, ale dzięki temu mogłem swobodnie poruszać się również po scenach i ich zapleczu, z czego oczywiście chętnie korzystałem.

Następnego dnia rano dotarłem na konferencję prasową, na której główną rolę odgrywała gwiazda festiwalu, czyli zespół New Model Army. Gdy impreza już się właściwie zakończyła, ktoś jeszcze wspominał w dwóch zdaniach o mojej nagrodzie, ale okłasków nie pamiętam.

Pamiętam za to, jak z odbitymi na ksero reklamówkami firmowymi krążyłem po

okolicznych szkołach i internatach, gdzie w wieloosobowych salach kwaterowały zakwalifikowane na festiwal młode kapelle, a ja wręczałem im te swoje „prospekty” i przekonywałem, że warto się zainteresować sprzętem PMP.

Potem spotkałem się z „jury”, które miało oceniać artystów pod kątem mojej nagrody, a byli w nim tacy muzycy jak choćby Muniak Staszczyk, Jarek Janiszewski i Piotr Łukaszewski, gitarzysta zespołu IRA. Kręcił się też tam Kuba Wojewódzki, który był kierownikiem całej imprezy, i który występował również w roli konferansjera na małej scenie, wraz z Jarkiem Janiszewskim, i ja też tam byłem i zdjęcia robiłem, dzięki czemu mogę je teraz pokazać publicznie. Dla porządku dodam, że ufundowaną przeze mnie nagrodę zdobył gitarzysta toruńskiego zespołu Goliat, który zadzwonił do mnie po festiwalu i mi o tym powiedział. Uwierzyłem mu na słowo (bo mnie nikt o tym fakcie oficjalnie nie poinformował) i artysta przyjechał po prostu po odbiór pieca i do dziś mam jakąś kasetę z demówką tej kapeli, o której nigdy później już nie słyszałem. A teraz zapraszam do obejrzenia kilku fotek z małej sceny, na których widać m.in. Jarka Janiszewskiego (Bielizna, Czarno-Czarni i kilka innych formacji), którego twórczość bardzo sobie cenię, i którego uważam za jednego z najbardziej oryginalnych wykonawców w naszym lokalnym świątku rockowym. Na mojej stronie internetowej umieściłem nawet felieton o Bieliźnie, więc jeśli ktoś jest zainteresowany, to zapraszam do lektury. Widać też na nich Pawła „Konjo” Konnaka, znanego choćby z kultowego już dzisiaj programu Lalamido.

Te wszystkie zdjęcia zrobiłem niedługo przed tym, jak na Małej Scenie doszło do wielkiej rozróby, w trakcie której agresywni fani jakiejś kapeli punkowej, chyba o nazwie Smar W, zdewastowali nie tylko ławki, na których siedzieli, ale również większą część aparatury nagłaśniającej. Gdy wróciłem z Dużej

Sceny na Małą po kilku godzinach, zastałem już tylko pobojowisko, ale nie mam zdjęć, bo akurat skończył mi się film w aparacie. Od pana Andrzeja Modrzejewskiego, właściciela firmy z Poznania, która nagłaśniała koncert, dowiedziałem się, że ekipa techniczna zabarykadowała się w małej kanciapie na zapleczu sceny i mogli się tylko domyślać, co się na niej dzieje. A po wyjściu zastali już tylko zdewastowany w dużym stopniu sprzęt, co było tym bardziej przykre, że aparatura nie była ubezpieczona. Jeśli chodzi o główną arenę festiwalową, to obsługiwana była przez firmę Fotis Sound, która w tych czasach wysuwała się na pozycję lidera krajowych firm nagłośnieniowych. Zresztą na Małej Scenie też była wykorzystywana aparatura Fotisa, np. paczki rentalowej firmy TSP, od której został zakupiony ten sprzęt. Jak widać na kolejnych zdjęciach, wielkich różnic w porównaniu z Jarocinem sprzed prawie dekady nie było, przynajmniej jeśli chodzi o przody i ich „ideologię”. No, może backline i rampy wyglądały bardziej profesjonalnie, ale wówczas działało już pręcznie kilka firm, które specjalizowały się właśnie w konstrukcjach scenicznych i w dostarczaniu sprzętu wykorzystywanego przez muzyków na scenie. Udało mi się nawet zamienić kilka zdań z właścicielem aparatury, panem Fotisem Tzokasem, ale ponieważ moje pytania miały charakter techniczny, zostałem odesłany do stanowiska realizatorów. Akurat trwał występ jakiejś kapeli, spytałem więc, dlaczego nie mogę zrozumieć nic z tego, co śpiewa wokalista. Odpowiedź była jak dla mnie dość zaskakująca, bo usłyszałem, że artyści wolą, żeby wokal był słabo słyszalny. Nie dopytałem, czy wszyscy, ale faktem jest, że na wielu koncertach, na których byłem znacznie później, ten problem wciąż występował i nadal występuje, nawet gdy używane są nowoczesne systemy liniowe. Zapraszam do obejrzenia zdjęć z dużej sceny i jej okolic, a na zakończenie tematu Jarocina dodam, że nawet nie obejrzałem występu gwiazdy, czyli New

Model Army, bo po prostu miałem już dość i pojechałem do domu.

Na żadnym większym festiwalu od tamtej pory nie byłem, choć wspomnę, że trafiłem kiedyś na koncert Stinga, który miał miejsce na torze wyścigów konnych na Służewcu w Warszawie, czyli kilkanaście kilometrów od miejsca, w którym mieszkam. Podobno było tam ok. 100 tysięcy ludzi, a nagłośnienie to jedna z większych porażek, jakie w życiu słyzałem. W odległości mniej więcej 100, może 120 metrów od sceny głośniejszy był dzwonek mojej komórki niż dźwięk, który dobiegał z „przdów”. No ale trudno się dziwić, skoro powieszono sprzęt, który może obsłużyłby koncert na 5 tysięcy osób, choć szauł też pewnie by nie było. Co ciekawe, za nagłośnienie odpowiedzialna była bardzo znana rentalowa firma zachodnia, a ja sobie wtedy pomyślałem, że lepiej by się spisało w tych warunkach co najmniej kilku moich znajomych, którzy są właścicielami krajowych firm nagłośnieniowych. Być może poszło o kasę, bo impreza była darmowa i firma jest niewinna, gdyż postawiła to, za co jej zapłacono, a pewnie nikt nie przewidział, że przyjdzie aż tylu ludzi. Ja po kilku utworach po prostu udałem się do wyjścia i nie byłem odosobniony w tej decyzji. Jeszcze inną kwestią był support, czyli artystka Kayah, którą słycać było z takim echem, że słycać się tego nie dało. A pasowała do Stinga mniej więcej tak, jak support w postaci Anji Orthodox przed występem Jethro Tull, bo takie „wynaturzenie” też miałem okazję obserwować i słycać w Sali Kongresowej.

Ten warszawski przybytek sztuki od kilku lat jest nieczynny z powodu remontu, ale to właśnie w tym miejscu, w roku 1994, miał miejsce

występ, który wspominam jako jeden najlepiej nagłośnionych koncertów, na jakich byłem. Artysta to Dawid Byrne z towarzyszeniem zespołu, w swoim czasie lider kapeli Talking Heads. Dźwięk był doskonale selektywny, słyszalne było każde słowo i każda fraza grana przed świetnych muzyków. Nie forsowano głośności, a cały backline był schowany za kotarą, która znajdowała się z tyłu, za muzykami. Nigdy potem nie widziałem tak zorganizowanego występu, gdzie całą uwagę można był skupić na sztuce, zamiast rozpraszać ją na „atrakcje” serwowane przez przygłuchych akustyków, jak to miało miejsce choćby podczas koncertu grupy Toto w tym samym miejscu. W końcowej fazie tej imprezy natężenie dźwięku było tak duże, że po prostu wyszliśmy z żoną na korytarz i dopiero tam można było coś usłyszeć. Podobna sytuacja miała miejsce na Torwarze, gdy chciałem na żywo podelektować się maestrią muzyków grupy Dream Theater. Gość, który miksował koncert, w zasadzie nie widział sceny ze swojego stanowiska, bo konsola była praktycznie na poziomie podłogi, za to nad nim, na podwyższonym podeście, szalała jakaś panienka od świateł. Specjalnie tam poszedłem i nawet tłoku dużego nie było, więc mogłem zaobserwować, jak większość linijek ledowych w konsolecie niemal bez przerwy świeciła głównie na czerwono, bo akustyk chyba uwierzył w zbawczą moc limiterów, które gdzieś tam po drodze do głośników pewnie się znajdowały. W efekcie takiego podejścia cokolwiek można było usłyszeć tylko przy samych drzwiach wyjściowych, czyli w maksymalnym oddaleniu od sceny, a najlepiej było wyjść w ogóle poza obszar hali.



W dawnych czasach częściej bywałem na koncertach, nawet na biletowanych.

Jednak nie po to idzie się na koncert, żeby wyłącznie słycać, więc zakup biletów na tę imprezę uważam za sporą pomyłkę.

Oczywiście byłem ciekaw, jaki sprzęt wykorzystano na wspomnianym wyżej koncercie Dawida Byrne, ale mimo najszczerszych chęci nie udało mi się dostrzec na paczkach żadnego logo. Widać było po nich upływ czasu i wyglądały mi trochę na „samodziały”, ale mogę się oczywiście mylić, bo w tamtym czasie nie miałem jeszcze takiego „obycia” w kwestiach sprzętowych, jak dziś.

Pamiętam tylko, że ciężarówky, które przywiozły aparaturę, miały chyba szkodłą rejestrację, i to tyle, co wiem na ten temat. Dodam jeszcze, że były to oczywiście klasyczne zestawy dość dużych rozmiarów, ustawione na scenie po obu jej stronach. Nic nie „wisiało” ani



Konferencja prasowa New Model Army.



Na małej scenie królował punk-rock i charyzmatyczni konferansjerzy.



Nagłośnienie małej sceny.



Z tej aparatury niewiele zostało po demolce.

sobą w szczególny sposób nie epatowało, a jednak okazało się, że akustycy wycisnęli z tej aparatury o wiele więcej, niż można się było spodziewać „na oko”, co po raz kolejny dowodzi, że decydującą rolę odgrywa jednak człowiek i jego umiejętności.

Dzisiaj sytuacja wygląda tak, że klasowego sprzętu na rynku jest „po kokardkę”, a z moich doświadczeń wynika, że jego wykorzystanie bardzo często pozostawia wiele do życzenia. Nadmierna głośność i bezsensowne forsowanie dołu to dość powszechna bolączka wielu imprez, które odbywają się współcześnie. Fakt, że jakaś paczka jest w stanie wygenerować poziom 140 czy więcej decybeli jeszcze nie oznacza, że realizator musi to wszystko przy każdej okazji udowodniać. W cywilizowanych krajach są dość konkretne przepisy w kwestii jak głośno można grać w konkretnych warunkach, natomiast u nas bywa tak, że kończyła mi się skala na moim mierniku SPL w miejscu, gdzie umiejscowione było stanowisko FOH. A jest wyskalowany do 130 dB. Jeśli nie sposób jest porozumieć się z akustykiem, nawet krzycząc mu do ucha, to jest to moim zdaniem „błąd w sztuce”, choć użycie w tym kontekście określenia „sztuka” jest

mocno na wyrost. Jest coś takiego w akustyce, co określa się jako próg bólu, spowodowany właśnie przekroczeniem dopuszczalnych norm natężenia dźwięku. Co prawda ten próg dla każdego może być inny, ale uważam, że dobrowolne poddawanie się takim bodźcom to masochizm albo brak wiedzy, który prędzej czy później zazwyczaj prowadzi do nieodwracalnych uszkodzeń słuchu.

Oczywiście koncert rockowy rządzi się nieco innymi prawami niż nagłośnienie poezji śpiewanej, ale jakiś umiar zawsze jest wskazany, i to nie tylko z uwagi na kwestie zdrowotne czy przestrzeganie przepisów prawa. Rzecz również w tym, że nadmierna głośność, niedostosowana do warunków zewnętrznych, w których odbywa się impreza, musi odbić się negatywnie na jakości dźwięku docierającego do uszu słuchaczy. Zawsze ucierpi na tym selektywność przekazu, czyli ten czynnik, który moim zdaniem jest jednym z decydujących, gdy chodzi o ocenę jakości pracy ekipy nagłośnieniowej. To kolejny temat, któremu można by poświęcić oddzielny artykuł, ale póki co podam tylko jeden przykład z życia wzięty.

W ubiegłym roku w moim Piasecznie miał miejsce darmowy koncert zespołu Perfect.

Na potrzeby legendarnego zespołu zainstalowano topową aparaturę, czyli system liniowy z najwyższej półki. Z zespołem przyjechał też oczywiście realizator dźwięku, współpracujący z kapelą od lat. Wydawałoby się, że musi być dobrze, a nie było, bo najlepszy odbiór tego, co wydobywało się z głośników, paradoksalnie uzyskałem w charakterystycznej, niebieskiej kabinie Toy-Toy, której projektant pewnie nie przewidział, że może służyć do celów „kontemplacyjnych”. Dopiero po zamknięciu się w środku mogłem zrozumieć słowa śpiewane przez wokalistę i dźwięk nareszcie stał się w miarę selektywny i nie „zabijał”. To było bardzo ciekawe doświadczenie i kilka razy wchodziłem i wychodziłem z tego przybytku, żeby upewnić się, że słuch mnie nie zwodzi. No ale każdy chyba przyzna, że słuchanie koncertu w zamkniętym – przepraszam za wyrażenie – kiblu to trochę dziwna metoda na walkę z decybelami.

Co prawda na niektórych forach internetowych pojawiają się sugestie, żeby w takich wypadkach używać stoperów do uszu, no ale nie sądzę, żeby taka metoda załatwiała problem. Co ciekawe, ten ten sam zespół miałem okazję słyszeć w roku 2000, na koncercie plenerowym na Polu Mokotowskim w Warszawie. Pewnie niektórzy pamiętają jeszcze charakterystyczne, żółte trucki z szyldem Inwazja Mocy. I właśnie na takiej aparaturze firmy Turbosound zagrał wtedy Perfect. Całe „przody” zmieściły się na platformie ciężarówki, a jakieś 30 metrów od sceny postawiono tylko jeden stack dogłaniający strefę. Jakość dźwięku była nieporównywalnie lepsza od tego z ubiegłego roku, co nie jest jedynie moją opinią, bo tak się składa, że jeszcze dwie osoby miały okazję być ze mną na obu tych imprezach. Lepsza to mało powiedziane, gdyż wszystko świetnie się „zgadzało” i naprawdę nie było się do czego przeczepić. Można powiedzieć, że większość numerów słyszalna była jak z płyty, tylko z dużo większym „kopem”, niż można oczekiwać w domu, a to naprawdę trudna sztuka, żeby osiągnąć taki efekt w koncercie na żywo.



Może ktoś rozpozna ten zespół.

Oczywiście warunki akustyczne w centrum miasta Piaseczna, gdzie paczki grały wprost na dużą, płaską ścianę budynku, z pewnością były gorsze niż w wolnej przestrzeni Pola Mokotowskiego, no ale znacznie lepszy efekt można by uzyskać w takich „okolicznościach przyrody”, gdyby zagrać co najmniej o 30% ciszej. „Przestery” na wokalu to dość ciężki grzech, i jeśli mają miejsce, to coś jest nie w porządku. Oczywiście publika i tak była zadowolona, bo po pierwsze za darmo, po drugie znany zespół, a słowa piosenek i tak każdy zna na pamięć, więc nie ma co narzekać. Ale, jak wspominałem na wstępie, nie potrafię ot tak, po prostu, przejść do porządku dziennego nad dźwiękiem, który mnie męczy i nie daje się skupić na tym, co chce przekazać artysta. Być może dlatego na koncertach bywam coraz rzadziej i myślę, że to już się raczej nie zmieni, bo uważam, że nie ma sensu się katować, nawet z darmo.

Na małą, kameralną imprezę może jeszcze dam się kiedyś zaprosić, bo ciągle pozostaje w mojej pamięci koncert jednej z moich ulubionych kapel, czyli zespołu Wishbone Ash, który miał miejsce w roku 1995 w klubie Tango w Warszawie. Pod względem „artystycznym” był to jeden z najlepszych występów, na jakich byłem w życiu, a bardzo bliskie „obcowanie” z zespołem, związane z niewielkimi gabarytami sali, spowodowało, że jeszcze długo byłem pod wrażeniem sztuki artystycznego wszystkich muzyków. Smaczku sprawie dodaje fakt, że kamerzysta WOT kilka razy umieszczał mnie w kadrze filmu, który dokumentował ten występ, i który w kilka dni potem

pokazano w telewizji. Nagłośnienie było bardzo w porządku, a młody człowiek za konsolą doskonale dawał sobie radę. Jeśli dobrze pamiętam, to technikę zapewniła firma GMB, choć głowy teraz za to nie dam. Poszedłem na ten koncert z żoną, a ponieważ inna osoba zrezygnowała, zaproponowałem bilet znajomej pani profesor od teorii muzyki, która wykładała ten przedmiot w szkole muzycznej przy ul. Miodowej w Warszawie. To osoba starsza ode mnie, no i związana jednak głównie z muzyką klasyczną, więc wykazała sporą „odwagę”, decydując się na udział w koncercie rockowym. Ale okazało się, że prawdziwa sztuka może trafić do każdego, więc z ogromną satysfakcją obserwowałem jej niemal entuzjastyczne reakcje w trakcie koncertu, a potem jeszcze rozmawialiśmy i nasze wrażenia były bardzo podobne, mimo że perspektywa oceny była zapewne nieco odmienna.

Zapis występu Wishbone Ash to bardzo miła pamiątka i co jakiś czas do niego wracam, choć widziałem ich na żywo jeszcze kilka razy, np. na koncercie na Torwarze, jeszcze w czasach komuny. Lider kapeli, gitarzysta Andy Powell, też wspominał ten występ, który utrwalił mu się w pamięci choćby z tego powodu, że Torwar był nieogrzewany i wszystkim para leciała z ust. Dziś nawet podrzędne gwiazdki krajowe pewnie nie zagrałyby w takich warunkach, no ale czasy się zmieniły, choć nie wszystkie zmiany są na dobre. Żeby „uwiarygodnić” moje opisy wydarzeń muzycznych, przedstawiam zbiorczą fotkę kilku biletów wstępu na koncerty, o których pisałem. Zwracam również uwagę na Camela, bo to też było jedno z tych

wydarzeń, których raczej nigdy nie zapomnę, nie tylko dlatego, że na własne uszy mogłem się przekonać, jak znakomitym gitarzystą jest Andy Latimer.

Dodam jeszcze, że na tym koncercie sprzed 2 dekad na Polu Mokotowskim tylko Perfect zagrał na sprzęcie Turbosound, a wszystkie pozostałe zespoły (np. T.Love) występowały na dużej, „stacjonarnej” scenie, którą obsługiwał system HLA firmy JBL. I brzmiał o wiele gorzej, niezależnie od artysty i tym bardziej niezależnie od tego, że imponująco wyglądał i przynajmniej w teorii powinien „zabić” tego Turbosounda na ciężarówce. Trochę szkoda, że, podobnie jak w przypadku wspomnianej wcześniej firmy Peavey, zasłużona marka brytyjska przeniosła się do Chin i dziś zamiast głośników Precision Devices stosuje przetworniki firmy Behringer, przynajmniej w sprzęcie budżetowym. No ale kiedyś raczej nie było „budżetowego” sprzętu Turbosound, podobnie jak nie było budżetowych Mercedesów, a dziś dowolne logo można przyczepić do wszystkiego, o czym przekonuje choćby napis Marshall na głośniczkach sprzedawanych w supermarketach. Jim pewnie przewraca się w grobie, zaś nam pozostaje jedynie zdać się na zdrowy rozsądek, żeby nie dawać się omamiać wszechobecnej reklamie i sztuczkom marketingowym producentów, którymi rządzą księgowi.

I tym nieco pesymistycznym akcentem zakończę, a za miesiąc chyba znów wrócę do tematyki głośnikowej, bo wpadłem na pewien pomysł na artykuł, który mam nadzieję spodoba się redaktorowi naczelnemu i, rzecz jasna, Czytelnikom. 🎸



Nagłośnienie Małej Sceny mogło robić wrażenie swoją wielkością, szczególnie 25 lat temu.



Backline, czyli dla każdego coś odpowiedniego.